

Bez tajemnicy

214 **I**ak grać „Wesele”, piekielnie trudny, złożony z podobno genialnego „materii pomieszania” dramat, ażeby nie rozsywał się reżyserowi w palcach. By ewidentnie słabe, niekiedy grafomańskie partie, nie zagluszają fluorescencji, jaką darzy swojego widza ten natchniony pamflet na polskość zniewoloną. Jak uczynić, aby kolejna premiera nie przyniosła wrazenia, że to wspaniały utwór, tylko nie tak wystawiony?

Z reguły dzieje się tak, że jeśli nawet pierwszy akt okazuje się artystycznie spójny i myślowo obiecujący — niezależnie od reżyserkiej intencji: sięgnięcia do słynnej plótki spopularyzowanej przez Boya, czy do ostrego pamfletu, z zamiarem współczeszenia autorskiego przesłania — to akt drugi, ~~z~~ z Osobami Dramatu, wypada niczym kiepska, grottgerowsko-matejkowska malowanka. W rzadkich okresach narodowej prosperity bywa to malowanka, przed którą wzdrga się wykwintny gust estetyczny. Natomiast w owych innych — narodowego uniesienia, „Wesela” najlepiej nie grać w ogóle. O ileż poręczniejsze dla wyartykułowania tego, co pobudza serca (usypiając niekiedy rozum) okazuje się „Wyzwolenie” tegoż autora!... Dziś zresztą również, wbrew pozorom, chwila nie jest dla Arcydramatu najlaskawsza; rozdrapywanie ran nie ma co liczyć na popularność i nie dlatego tylko, że zdaje się trącić niemiłym Zeromskim. Nawet podjęte z myślą o narodowym pojednaniu, znajdzie w odzwierciedleniu wybrzydzący wielu (jak przytrafiło się, niedoskonałemu, to fakt, „Weselu” teatru w Radomiu). Wszyscyśmy jeszcze obolali i cienką wciąż „bloną podłości”, której zaróżnienia lekkał się pogrobowiec Wyspiańskiego, autor „Przedwiośnia”. Nie da się ukryć: w latach kończącej się dekadę „Wesela” pobrzmiwa nutą trudną do strawienia przez atakowanych, szczególnie gdy nie weszprze ostrych diagnoz Pamflicysty podejrzana, acz sugestywna w swoim hochsztaplerstwie, magia teatru...

Przypominam owe oczywistości w związku z najnowszą premierą w poznańskim Teatrze Nowym. Janusz Nyczak, pamiętny inscenizator Bałuckiego i Czechowa, zamierzył rzecz ambitnie, poszedłszy zrazu tropem ostrej pamfletowości. Mnie osobliwie kojarzyło się to z interpretacją... Wajdy i z filmem, z którym teatr jak dotąd nie wstąpił w równie szranki. Nyczak więc poszedł tropem rywalizowania godnym. Tyle, że to, co było do przeprowadzenia na ekranie (w czym ogromna zasługa scenarzysty; Andrzej Kijowski „z ogromnie czułą muzykalnością” wedle Marczyka-Oborskiego wprowadził liczne skróty i przesunięcia scen dla potrzeb filmowego obrazu)

w ciasnym pudełku sceny, dodatkowo przeciętej w Poznaniu ścianą weselnego dworku, okazało się karkołomnym zadaniem. Kiedy pudełko w akcie drugim poszerzono, likwidując dekoracje do okrągłego stołu, pamfletowość, współczesna z ducha acz przepuszczona przez znamieny filtr kultury masowej, ustąpiła miejsca aranżowanej cokolwiek nonszalancko akademickości w stylu muzealnym. Tak, jakby sam reżyser nie miał przekonania, do owych wszystkich Rycerzy Czarnych, Widm, Hetmanów, Wernyhorów; ba, do Stańczyków nawet, dziwnym trafem zaplątanych w świat z innej epoki. W trzecim akcie wszystkie te ingrediencje nie mogły się nijak ze sobą zgodzić; magii teatru trudno było dojść w tej sytuacji do głosu. Efekt: tajemnica „Wesela”, owo podskórne promieniowanie, które zamknęło usta oponentom na wiosnę 1901 po prapremierze krakowskiej, w spektaklu oglądanym w Poznaniu nie mogło się urzeczywistnić. A przecież właśnie ona: tajemnica zawarta gdzieś między sensami katarzynkowego wiersza, umiejętność zasugerowania jej, wręcz mówienia ze sceny widzowi, decyduje za każdym razem o sukcesie przedstawienia...

W pierwszym akcie w filmowo kadrowanych sekwencjach pary weselników wylegają z głębi dworku ażeby w izbie, zamarkowanej tylko jako „przestrzeń dialogowa”, na proscenium nieledwie, charakteryzować nawzajem własne śmieszności i fobie, wylewać jady wobec bliźnich, artykułować pretensje do losu. U Nyczaka jak chłop to pije bez umiaru (już Klimina wychyla duszkiem jeden kieliszek za drugim); albo jest pazernie chytry (Jasiek swych pawich piór do czapki nakradł się najdosłowniej). Jak poeta to erotoman, zaledwie woalujący towarzyską galanterią nader współczesnej i nie stroniącej od wyrafinowania gusty w wiadomym „ciemnie”. Pan Młody to kobotyn, zaprawdę „narodowo się bałamucący”, zgodnie z konstatacją Żyda, i ofermna na dodatek...

To właśnie Żyd pojawia się jako pierwsza figura spoza szopki dotąd telewizyjno-cepeliowskiej; tylko że u Nyczaka ta postać jest cytatem z literatury. Z tej, dodacj trzeba, współczesnej zupełnie, z jej galicyjskiego nurtu, w którym nazwiska Iwaskiewiczów, Strykowski, Leńców, Stojowskich grały w 40-leciu pierwsze skrzypce. Jest to ta sama literatura zresztą, z której tu zaczerpnięto obie Matki Boskie: Często-chowska i Ostrobramska (ujawniają w ten sposób pewną charakte-

rystyczne złoży w narodowej świadomości, jeżeli nie w podświadomości zgoła. Dlatego zawieszono obrazie nie tyle we wnętrzu weselnej izby której na dobrą sprawę w poznańskim spektaklu nie oglądaliśmy w ogóle, tylko po bokach sceny). Jedyną postacią życiowo autentyczną w pierwszym akcie wydaje się Panna Młoda. Bardzo prawdziwie zaangażowana sytuacją, w jaką wpadła, i której ciągle jeszcze nie umie psychicznie sprostać, żywiąc tylko nadzieję, iż z czasem się przyzwyczai — jakże to bardzo dzisiejsze i nasze. Autentyczna też, tylko z jeszcze innej parafii estetycznej, z odmiennej epoki, okazuje się Rachel (skądinąd dobra rola Bożeny Krzyżanowskiej) wnosząca z sobą powiew z lekka egzaltowanej, stylowej poezji młodopolskiej. Poezji, z którą wszakże krwista prozaiczność filmowo kadrowanych i ciętych ostrym montażem sekwencji gryzie się po prostu...

Tak, nie ulega wątpliwości w tym „Weselu” reżyserki zamiar. Janusz Nyczak, nie stroniąc od telewizyjnego pastiszu i innych mass-kulturowości, chce nam podsunąć przed oczy groteskowe lustro, w którym przejrzelibyśmy się wszyscy, Polacy Anno 1987. To lustro Nyczaka, przy dojmującym wrażeniu scenicznej ciasnoty (a więc braku pola dla ewentualnej wizji, warunku koniecznego dla stworzenia iluzji) tym bardziej w tym ścieśnieniu dochodzi do głosu. I pokazuje nam wizerunek własny bynajmniej nie pochlebiony, nie oszczędzający ni panów, ni chamów.

Dlaczego załamuje się to wszystko w akcie drugim?... Najprostszym tłumaczeniem byłoby, że „Wesele” to utwór w swoim niekoherentnym bogactwie treściowo-stylowym niezwykle trudny. Tłumaczenia najprostsze bywają z reguły tłumaczeniami najtrafniejszymi; a jednak w tym przypadku pobrzmiwa to recenzentkim banałem. Bo przecież pomysł na swoje „Wesele” Nyczak miał i to całkiem niegłupi. Myślę, że w teatralnej robocie okazał się on, by tak powiedzieć, stylistycznie zbyt wąski. Zbyt w swojej teleestetyce realistycznie jednoznaczny, a by pomieścić w sobie metaforę, która by mogła wynieść świat jak z „Właśnie leci kabarecik” do poziomu niepokojących dźwięków z lirą, złotych rogów i temu podobnych dźwięków poetyckich; poziomu pawich piór, będących tu jednak czymś zgoła innym niż kolejnym możliwym sposobem tezauryzacji. Reasumując: przyczyną porażki Janusza Nyczaka

wydają się być bardziej skomplikowane niż brak efektownego teatralnego kruczka w rodzaju obrotówki czy chochoła załatwiającego hurtem wszystkie Osoby Dramatu. Przy czym rzecz warta jest o tyle refleksyjna, że nie powiodło się reżyserowi, mającemu dość rzadką u naszych młodych — i zresztą nie tylko — tendencję do czytania utworu dramatycznego nie samego w sobie, tylko poprzez szerszy kontekst...

Janusz Nyczak poznańską inscenizacją powiększył, trzeba przyznać, liczne grono tych, którym nie udało się doczytać „Wesela” do końca. Czytał je bowiem jak gdyby od drugiej strony; formacja kulturowa, z jakiej się wywodzi autor dramatu musiała się wydać chyba utalentowanemu reżyserowi dość obca. (Czy nie będzie się wydawała coraz bardziej obca młodszemu od Nyczaka? tym, którzy już działają w teatrze i którzy dopiero przyjdą). Nyczak to analityk, przypomnijmy „Trzy siostry” i przypomnijmy „Dom otwarty”. Teraz, przykro powiedzieć, jedynym momentem, w którym owiawa nas technicznie tajemnicy, bez której „Wesele” nie istnieje, ani w teatrze, ani na ekranie, okazuje się maksymalnie skrócona sekwencja, zarzyczał tak celebrowana, gdy wirujący w zwolnionym zrazu rytmie kłęb chocholech taneczników umyka przed nami coraz szybciej, ażeby zniknąć gdzieś nareszcie w głębi sceny. Kojarzy się to nieomylnie ze słynnymi „Ślepcami” Petera Breughla...

Jeszcze jeden trop z rekwizytorni kultury, tym razem zaczerpnięty z historii sztuki. I jakby się nie spieszać z jego defetystycznym przesłaniem, należy przyznać iż obraz zapada w pamięć. Sprawa nie w defetyzmie wszakże; „Wesele” nie należy do utworów krzepiących narodowe morale. Rzecz w tym, że obraz ów nie zostaje doprowadzony do świadomości widza uaoaczeniem wewnętrznym spójnego i artystycznie jednorodnego procesu, z którego by miał wynikać.

Jeśli się zważy fakt, że Teatr Nowy wciąż może uchodzić za przykład wyjątkowo zgranego zespołu, a oglądamy dramat Wyspiańskiego bez Poety, Gospodarza i bez Stańczyka nawet (którego tu stanowczo zbyt mało jak na wszelką poważną próbę rozmowy Polaków współczesnych z Polakami w ogóle) wypadnie przyznać, że jeszcze raz „Wesele” okazało się utworem z niejasnym przesłaniem, być może nie na miarę chwili, jaką przeżywamy. Ale jeżeli stało się wprost odwrotnie: jeśli to chwila (wraz z teatrem) do „Wesela” zwyczajnie nie dorastają?... Nie poraz pierwszy zresztą.

Teatr Nowy w Poznaniu, Stanisław Wyspiański, „Wesele”, reż. Janusz Nyczak, scenogr. Michał Kowarski, muz. Zygmunt Konieczny, wrzesień 1986.